Od Łupi do Parany i Amazonki. Część I.

Biblioteca Nacional, Caracas

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Jak to się stało, że właśnie Wenezuela? Kuba, Hiszpania, nawet Francja były niejako częściowo uwarunkowane zewnętrzną sytuacją, z góry, w pewnym sensie, „narzucone”, zaprogramowane przez zainteresowania zawodowe. Wenezuela zaś to w pełni mój osobisty, suwerenny wybór dokonany samodzielnie po lekturze *Doñii Barbary* Rómulo Gallegosa, a także dzięki fascynacji ludową muzyką na harfę – cudowny instrument! Rómulo Gallegos niezwykle sugestywnie maluje w swojej powieści życie mieszkańców Llanos, tych bezkresnych równin zajmujących jedną trzecią część Wenezueli, stwarza jakąś tajemniczą, cudowną atmosferę opisując przebogatą florę i faunę tego obszaru wielkości Polski, a ponadto nie tylko w dialogach, ale i w narracji używa bardzo malowniczego tamtejszego języka, który stał się punktem wyjścia moich badań leksykalnych. Głębokie tony harfy także tkają kanwę jakiegoś muzycznego misterium. Tak przynajmniej to odbierałem. Może to była konieczność stworzenia sobie baśni na prywatny użytek, baśni w odległym, nieznanym, tajemniczym świecie?

I tak stworzyłem dla siebie własny, baśniowy obraz tego kraju i starałem się maksymalnie pogłębić wiadomości na jego temat czytając książki wypożyczane z biblioteki Ambasady Wenezueli w

Warszawie. Ambasadorem był wówczas poeta Vicente Gerbasi (1913-1992), a sekretarzem Roy Chaderton (ur. w 1942 roku), z którym często utrzymywałem kontakty. Zabiegałem o to, by jak najczęściej przebywać w towarzystwie Wenezuelczyków z nadzieją, że w ten sposób dowiem się czegoś ciekawego o ich kraju. Kiedyś poznałem wenezuelską pianistkę polskiego pochodzenia Evę Marię Zuk, która wyszła za mąż za Meksykanina i od ślubu mieszka z nim w Meksyku. Zagadnąłem ją, który z tych trzech krajów uważa za swoją ojczyznę. Odparła: „Gdybym miała oddać życie za jakiś kraj, byłaby to z pewnością Wenezuela". No proszę, pomyślałem sobie. Jeśli tak mówi młoda atrakcyjna dama, to w istocie ten kraj musi być nadzwyczajny. Zupełnie nie brałem pod uwagę faktu, że Eva Maria Zuk urodziła się, spędziła dzieciństwo i wczesną młodość właśnie w Wenezueli i że w jej sytuacji taka odpowiedź była czymś naturalnym. Mnie wszakże posłużyła do wzbogacenia mojego baśniowego obrazu Wenezueli.

Teraz, od momentu wylądowania na lotnisku Maiquetía w dniu 1 maja 1972 roku, miała nastąpić konfrontacja mojego prywatnego mitu z rzeczywistością. Lotnisko znajduje się tuż nad Morzem Karaibskim, 16 km od Caracas, które leży dość wysoko, 920 m nad poziomem morza, w wąskiej, długiej ponad dwudziestokilometrowej dolinie u stóp pasma zwanego Kordylierą Nadmorską, z górującym nad miastem szczytem Ávila (2137 m). Mit wciąż działał, więc po drodze do stolicy

oczarowały mnie migające przed oczami kolorowe domki stłoczone na stokach gór. Dopiero potem miałem okazję im się przyjrzeć. Okazało się, że są to *ranchitos*, czyli zwykłe slumsy sklecone z byle czego na wzgórzach zwanych *cerros*. Taka jest wizytówka stolicy Wenezueli od strony lotniska. Później dowiedziałem się, że w tych *ranchitos* pokrywających szczelnie stoki *cerros* wokół miasta mieszka połowa ludności dwumilionowej wówczas stolicy.

Wjechaliśmy do centrum handlowego. Wśród niskiej, niezbyt ciekawej zabudowy strzelają tu i tam okazałe wieżowce. Najstarsza część miasta jest niewielka i skromna. Całkowicie tonie w powodzi współczesnej tandety architektonicznej. Najciekawszy jest mały Plac Bolivara, z fontannami, pięknie zadrzewiony. Pod konarami rozłożystych drzew pomnik generała na koniu (pomniki Bolivara są wszędzie!), a po najwyższych gałęziach próbują się poruszać niezwykle powolne leniwce, jakże zasługujące na swą nazwę! Zawsze jakaś grupka przechodniów z zadartymi głowami wpatruje się w nie z ciekawością. W rogu placu interesująca bryła katedry z XVII wieku, dalej klasztor i kościół św. Franciszka z 1574 roku i dwa przylegające do siebie najciekawsze w mieście domy kolonialne: dom, w którym w 1783 roku urodził się bohater narodowy Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Peru i Boliwii – Simón Bolivar oraz siedziba Muzeum Bolivara. Wysokie okna z żelaznymi kratami, ciekawe portale. I to niemal wszystko, gdy chodzi o kolonialne Caracas. Jeszcze

daleko stąd, u stóp góry Ávila, willa Anauco, siedziba Muzeum Sztuki Kolonialnej. Te nieliczne okazy z epoki kolonialnej kilkakrotnie odbudowywano po częstych tutaj trzęsieniach ziemi.

Katedra, Caracas

Jednak prawdziwą wojnę zabytkom Caracas wydali sami władcy miasta, wyburzając począwszy od połowy XX wieku wszystko, co miało związek z przeszłością, by wznieść wysokościowce i wybudować ogromne autostrady okalające czy wręcz

przecinające miasto. Z wyjątkiem malutkiego starego miasta pieszy nie ma w Caracas najmniejszych szans: większość ulic poza centrum pozbawiona jest chodników, a ruch samochodowy jest niezwykle intensywny. Miasto stworzone jest wyłącznie dla zmotoryzowanych. Nie należałem do nich, toteż nie dziwota, że nie przypadło mi do gustu. Nie zawiodła mnie, jak zwykle, wyjątkowo piękna tutaj tropikalna roślinność. Chyba w żadnym innym tropikalnym mieście nie widziałem takiej ilości cudownie kwitnących drzew i krzewów. Zachwyciły mnie zwłaszcza ogromne *bucares* (*Erythrina poeppigiana*) z wielkimi ogniście czerwonymi kielichami kwiatów oraz fioletowo kwitnące *guarupas* (*Jacaranda filicifolia*), wiele różnorodnych gatunków palm, zbite kępy bambusów...

Najwięcej pięknej roślinności można zobaczyć na wzgórzach zabudowanych eleganckimi willami. Wzgórza te zwą się *colinas* w odróżnieniu od *cerros* pokrytych slumsami i znajdują się w bezpiecznej odległości od tych ostatnich. Czytelnikom nie znającym języka hiszpańskiego wyjaśniam: *cerro* i *colina* to synonimy oznaczające wzgórze, górę, ale to pierwsze słowo ma charakter bardziej gminny, pospolity, niż to drugie. Na *colinas* mieszkają najzamożniejsi, w willach-fortecach otoczonych często wysokimi murami. Zarówno tu, jak i w innych eleganckich dzielnicach, położonych tuż u stóp góry Ávila, w każdej takiej willi jest przynajmniej jedna służąca (najczęściej Mulatka) i jeden ogrodnik-kierowca w jednej osobie. Służące pracują w każdej

zamożniejszej rodzinie wenezuelskiej i czasami traktowane są przez właścicieli jak niewolnice w epoce kolonialnej. Oto jeden z kontrastów: szerokie autostrady z rwącymi potokami aut, nowoczesne wieżowce i … służące-niewolnice.

Zamieszkałem w handlowej dzielnicy Chacaíto, we wschodniej części miasta, w niewielkim jednopiętrowym budynku przy Alei Franciszka de Mirandy 28. Właścicielka mieszkania, Doña Luisa Olavarrieta, starsza, ale wciąż elegancka i zadbana dama, była bliską przyjaciółką Eduarda i jego rodziny. Nazywali ją wszyscy „Luisita" (Ludwisia). Miała kudłatego białego psa o imieniu „Prince", a ponieważ ta rasa nazywa się po hiszpańsku *perro de Pomerania* (pies pomorski), pani Ludwisia twierdziła, że jest moim rodakiem. Namiętnie oglądała (już wtedy!) brazylijskie seriale w telewizji, przeżywając niebywale perypetie ich bohaterów. Była też wielką miłośniczką *zarzuelas* (hiszpańskich operetek) i wciąż zapraszano ją na śluby i wesela. Pewnej soboty zdarzyło jej się być na trzech kolejnych ślubach!

Od początku mego pobytu jeździłem autobusem do położonej w starym centrum Biblioteki Narodowej. Mieściła się w dawnym klasztorze św. Franciszka, zwanym obecnie Pałacem Akademii (mieszczą się w nim również trzy czy cztery sekcje Akademii Nauk). Muszę przyznać, że niełatwo było mi się skupić na lekturze traktatów lingwistyczno-etnologicznych w wilgotnym, dusznym upale dochodzącym czasem do 30 stopni (wewnątrz nie

było klimatyzacji). Mimo wszystko, z uwagi na wysokie położenie Caracas, upał był o wiele znośniejszy, niż w Hawanie. Zwłaszcza noce były przyjemnie ciepłe, z lekką bryzą, nigdy upalne. Pod wieczór chodziłem do pięknego ogrodu naprzeciwko domu Doñii Luisy. Siadałem na ławce w cieniu i czytałem. Niestety, podczas jednej z takich wizyt podszedł do mnie jakiś malec i rzekł: „Mój dziadek nie lubi, kiedy pan tu przychodzi”. Przeprosiłem i na tym skończyło się odwiedzanie tego miejsca, którego właścicielom przeszkadzała moja dyskretna obecność. Pozostawała mi ruchliwa arteria do spacerów jej niebezpiecznym skrajem. Kiedyś późnym wieczorem nagle tuż przy mnie zatrzymało się jakieś auto, z którego „wysypała się” – niby to przypadkiem wprost na mnie – całkiem młoda „wesoła” Mulatka. Auto odjechało i wywiązał się między nami taki oto dialog:

Ona: Idziemy?

Ja: Idziemy!

Ona: A dokąd?

Ja: No, na przykład, na Plac Wenezuelski (było to dobre 3 km stamtąd).

Ona (kładąc mi rękę na ramieniu i z żalem w głosie): Ależ kochanie, ja pracuję!

Przez pierwsze cztery miesiące byłem stypendystą rządu wenezuelskiego i poza pracą w Bibliotece Narodowej odbywałem rozmowy i wywiady z etnologami, etnografami i dziennikarzami w różnych instytucjach naukowych i redakcjach czasopism (*El Nacional, Imagen*). Odwiedziłem między innymi siedzibę Towarzystwa im. Bolivara (*Sociedad Bolivariana*) i odbyłem rozmowę z jego ówczesnym prezesem Pedro Grasesem. W Instytucie Folkloru rozmawiałem z wybitnym etnologiem Luisem Felipe Ramónem y Riverą, a w Narodowym Instytucie Kultury i Sztuk Pięknych (INCIBA) moim rozmówcą był Luis Arturo Domínguez, autor interesujących prac na temat literackiego i muzycznego folkloru Wenezueli. W siedzibie Wenezuelskiej Akademii Języka Hiszpańskiego przyjął mnie jej dyrektor, wybitny krytyk literacki Ojciec Pedro Pablo Barnola. Wszystkie te interesujące rozmowy i spotkania aranżował Eduardo, któremu zawdzięczam właściwie wszystko, gdy chodzi o mój pobyt w Wenezueli. Przed wyjazdem do Watykanu, gdzie objął stanowisko ambasadora Wenezueli przy Stolicy Apostolskiej, towarzyszył mi także w czterech wyprawach: 1. na Wyspę Margarita przy wschodnim wybrzeżu Morza Karaibskiego, 2. do wioski Colonia Tovar, w górach, 60 km na zachód od Caracas, 3. na miejsce bitwy pod Carabobo, która w 1821 roku zadecydowała o niepodległości Wenezueli, 4. na plażę Chichiriviche, około 50 km na zachód od Caracas.

Pierwsza wyprawa była najdalsza i chyba najciekawsza. Jechaliśmy nocą do Puerto La Cruz na wschodnim wybrzeżu, przecinając wspaniałe lasy tropikalne i plantacje kakao. Wychylałem się przez okno samochodu i chłonąłem to wszystko całym sobą, nie mogąc nasycić się cudowną wonią kipiącej po obu stronach drogi roślinności. Śmignął nam w pewnym miejscu *rabipelado* (*Didelphis marsupialis*), czyli torbacz zwany dydelfem. Pisząc te słowa sam zastanawiam się, dlaczego tak bardzo kocham najgłębszą z możliwych miłości ten tropikalny, kolorowy świat, pełen cudownych zapachów i barw, niesamowicie pięknych form, fantastycznie wkomponowanych w krajobraz. Odpowiedź tkwi w samym pytaniu i już właściwie nic nie muszę dodawać. Od maja do października trwa w Wenezueli pora deszczowa, czyli „zima" (co nie odnosi się w najmniejszym stopniu do niższych temperatur, a do faktu, że bardzo często padają ulewne deszcze). Przeżyliśmy taką tropikalną, może godzinną ulewę, po której zaraz wypogodziło się, a za jakiś czas wstało prażące słońce.

Z Puerto La Cruz po 4 – 5 godzinach podróży promem dotarliśmy na oddaloną o jakieś 120 km Wyspę Margarita, której rozmiary 84 x 42 km pozwalają w krótkim czasie dość dokładnie ją poznać. Wyspa słynie z pięknych plaż (dopiero pół roku później mogłem to w pełni docenić), hodowli ostryg i połowu pereł, stąd jej nazwa Margarita, co po grecku znaczy „perła". W drodze powrotnej, tuż za Puerto La Cruz, zwróciłem uwagę na obsypane pięknymi

złotymi kwiatami drzewa zwane *araguaney* (*Tabebuia spectabilis*). Rosły na wzgórzach pokrytych suchymi, kolczastymi krzewami i niskimi drzewami. *Araguaney* to narodowe drzewo Wenezueli. To piękna tradycja w Ameryce Łacińskiej: każdy kraj ma swoje narodowe drzewo, kwiat i ptaka. Takim narodowym kwiatem jest orchidea (także na Kubie), a ptakiem – wspaniały śpiewak, czarno-żółto-biały *turupial* lub *turpial* (*Icterus icterus*), bardzo często hodowany w klatkach. Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar, żona i ja, przywieźć takiego *turpiala* do Europy, ale chyba dobrze się stało, że tego w końcu nie zrobiliśmy. Pewno wkrótce dokonałby żywota w tej naszej zimnej, mglistej i smutnej części świata, głównie z tęsknoty za słońcem i rajskim otoczeniem.

Colonia Tovar to niemiecka wioska położona na wysokości 1700 m, założona przez osadników ze Schwarzwaldu w roku 1851. Klimat idealny ze względu na wysokość. Szachulcowe konstrukcje domów i kuchnia typowo niemieckie (znakomite strudle). Pole bitwy pod Carabobo znajduje się 220 km na zachód od Caracas, 38 km za miastem Valencia. Góruje nad nim monumentalny pomnik Bolivara. Jest plan sytuacyjny bitwy, płaskorzeźby przedstawiające poszczególne jej fazy.

Wspaniałym przeżyciem był wypad na plażę Chichiriviche de la Costa w obecnym stanie Vargas, około 30 km na zachód od lotniska w Maiquetía. Plaża znajduje się nad zatoczką w kształcie

muszli. Wpada do niej mała rzeczka. Od strony lądu palmy kokosowe, piękna roślinność. Miejsce trudno dostępne z uwagi na karkołomną górską drogę dojazdową. Wysoko na wzgórzach ogromne drzewiaste kaktusy *cardones*. Za lasem, jeden kilometr w głębi lądu, murzyńska wioska o tej samej nazwie Chichiriviche. Po raz pierwszy w życiu spędziłem dwie noce w hamaku. Spało się znakomicie.

Dzięki Eduardowi pokochałem kuchnię wenezuelską. Już pierwszego dnia zaprosił mnie na kolację do specjalizującej się w daniach narodowych restauracji „ El Portón” (Wrota). Od razu podano *arepas* – okrągłe bułeczki z mąki kukurydzianej, ze śmietaną. Zastępują one w Wenezueli chleb i nawet portugalscy imigranci, których w Caracas bardzo dużo (są głównie właścicielami małych sklepików spożywczych), po powrocie do Portugalii zakładają restauracje, gdzie można je zamówić. Widziałem takie knajpki na Maderze. Zafascynował mnie także krem z malutkich małży morskich *chipi-chipi*. Oprócz *arepas* i zamiast kartofli czy o wiele powszechniejszego tu ryżu, jako składnik drugiego dania podaje się *cachapas*, grube, intensywnie żółte naleśniki z kukurydzy. Są przepyszne! Liczne potrawy z kukurydzy, na których opiera się kuchnia wenezuelska, to przysmaki indiańskie ochoczo zaakceptowane przez wszystkich Wenezuelczyków, także białych przybyszów z Europy, wśród których najwięcej jest Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

Kilka zdań należy poświęcić owocom tropikalnym. Takiego bogactwa i różnorodności gatunków nie widziałem w żadnym innym kraju. Mówiono mi, że w Wenezueli istnieje ponad sto odmian samych bananów. Najcudowniejszym, prawdziwie rajskim owocem jest Mango (tak, świadomie piszę tę nazwę dużą literą, inaczej nie uchodzi!), którego smak, aromat, soczystość wywołują u konsumenta poczucie absolutnego spełnienia. Jedząc Mango doznaje się uczucia pełni doskonałości smakowej, jakiejś kulinarnej nirwany, całkowitego oderwania od codzienności, odfrunięcia na niebiańskie wyżyny genialnej perfekcji. Aż dziw, że dotąd nie wzniesiono pięknego pomnika Mango…

Llanos, Wenezuela

Na słynne równiny Llanos de Apure, tak sugestywnie opisane w powieściach Gallegosa, poleciałem sam. Nie sposób w paru zdaniach oddać różnicy między wrzaskliwym, szalonym, pulsującym niesamowitym rytmem Caracas, a tą głuszą, w której czas całkiem się zatrzymał od przybycia Kolumba, a może i od wcześniejszych epok. Po spędzeniu dwóch dni w zapadłej stolicy stanu Apure, sennym mieście San Fernando, położonym nad drugą co do wielkości (po Orinoko) rzeką Apure, poleciałem malutką wojskową awionetką do hacjendy hodowlanej Trinidad de Arauca, co znaczy Święta Trójca nad Arauką, kolejnym wielkim dopływem Orinoko. Lepiej nie mogłem trafić: rzeka Arauca jest rozsławiona na całą Amerykę Łacińską dzięki piosence będącej nieformalnym, drugim hymnem narodowym Wenezueli. Zaczyna się od słów: „Urodziłem się nad bystrym nurtem Arauki. Jestem bratem rzecznej piany, czapli, róż i słońca!” Jeszcze i ten obraz wzbogacał moją osobistą mitologię Równin. Szukałem jej potwierdzenia w rzeczywistości i o dziwo, wiele z jej wątków odnalazłem.

Już widok jeźdźców na koniach pędzących po bezkresie rozlewisk i rozpryskujących ogromne strugi wody, jakby znieruchomiałe w mojej optyce obserwatora z awionetki lecącej 300 metrów nad ziemią, idealnie pokrywał się z wizją Gallegosa. Nad sawanną przelatywały stada śnieżnobiałych czapli i szkarłatnych ibisów. Nie, stanowczo nie potrafię wyrazić tej bolesnej niemal radości, jaką odczuwałem patrząc na ten pejzaż tuż pode mną. Czułem się

wyróżniony, ogromnie wyróżniony przez Boga i tylko myślałem, że choćby dla takich chwil warto, warto żyć! A swoją drogą dlaczego nikt nie kręci filmów ukazujących to nieprawdopodobne piękno wenezuelskich Równin podczas ciężkiej pracy tamtejszych kowbojów, zamiast tych kretyńskich amerykańskich filmideł, gdzie wciąż leje się krew i dominuje przemoc? Dlaczego ludzie tak kochają brzydotę i zło, wszystko, co ohydne, barbarzyńskie, odrażające? Oj, nie najlepiej to świadczy o naszych bliźnich!

Decyzją właściciela hacjendy, José Natalio Estrada, starszego pana, który popenił dość kiczowaty poemat symfoniczny pod tytułem *María del Llano* (Maria z Równin) zamieszkałem w tak zwanej „klatce" (*la jaula*), białym baraku krytym falistą blachą. Miało to dwa zasadnicze plusy: był tam działający prysznic i hamak do spania, oba niezwykle istotne wobec nieustannego, **potwornego** upału. Nie było żadnych mebli poza stołem, na którym położyłem walizkę i magnetofon do nagrań wywiadów z mieszkańcami hacjendy. Muszę przyznać, że wyglądało to dość surrealistycznie. Na drugim hamaku co jakiś czas spał pracujący w hacjendzie kowboj Pedro Emilio Sánchez. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że był także znanym śpiewakiem z Równin. Umarł przedwcześnie w 1981 roku.

Rozmawiałem głównie ze starszym panem, który nazywał się Luis Magín Aranguren. Polecił mi go właściciel hacjendy

dodając: „Ten staruszek dużo wie!”. W istocie wiedział bardzo dużo. Potrafił szczegółowo opisać każdego ptaka, każdą roślinę, ponadto sypał anegdotami, recytował ludowe wierszyki, opowiadał własne przygody. Był wspaniałym rozmówcą, a jednocześnie miał w sobie dużo naturalnej godności. Nagrania z jego udziałem były dla mnie ogromną przyjemnością, choć pod koniec pot lał się ze mnie strumieniami. Otoczenie było szczególne. Tuż obok hacjendy toczyła swe czekoladowe wody szeroka Arauca. Na jej środku wyspa Angelero, skąd dochodziło niesamowite chrapanie małp wyjców, zwłaszcza o świcie i pod wieczór. Spotykano na jej brzegach także kajmany, gdzie indziej niemal wytępione ze względu na cenną skórę. Na wielkich liściach palm i w koronie drzew na podwórku przesiadywały gromadnie *tautacos* (*Theresticus caudatus*), czyli nieco inny gatunek ibisów o szaro-białym upierzeniu. Ustawicznie słychać było ich monotonny, bardzo głośny, urywany krzyk. Pod wieczór milkły zupełnie. Na środku podwórka wielkie drzewo – kurnik. W Wenezueli to zjawisko powszechne: kury żwawiej fruwają niż w Europie i są zdolne pofrunąć na gałęzie drzewa, które traktują jako grzędę do spania.

Ocelot

Już pierwszej nocy zakradł się na nie *cunaguaro* (*Felix tigrina*), kot nieco mniejszy, niż ocelot, o pięknym, cętkowanym jak u jaguara futrze. Spłoszony skoczył z drzewa na dach baraku, w którym spałem. Tam zastrzelił go kierowca Gamarra. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy w środku nocy usłyszałem strzały i huk jakiegoś ciężaru spadającego na dach, a potem toczącego się w dół. Powtarzam: była to moja pierwsza noc w hacjendzie. Wyobrażałem sobie, że to Indianie *Yaruros* z drugiego brzegu Arauki zaatakowali hacjendę, wszak Gallegos

pisał o nich jako o dość wojowniczym plemieniu. Teraz wiem, że już w połowie XX wieku zostało ich niewielu, żyli w nędzy, pozbawieni pracy i rozproszeni. Nazajutrz pokazano mi winowajcę. Leżał rozciągnięty na drewnianym podwyższeniu, z roztrzaskanym pyskiem. Futro miał przepiękne! Bardzo mi go było żal.

Z drugiej strony remontowanej wówczas willi właściciela rosły jakieś krzewy, wśród których spacerowały wielkie tamtejsze „indyki" – *paují* (*Crax nigra*) o czarnych, lśniących piórach i kędzierzawym dużym czubie na głowie. Droga prowadziła w głąb sawanny. Bliżej rzeki z gałęzi wielkich drzew zwisały długie gniazda *arrendajos* (*Cacicus cela*), pięknych czarno-żółtych ptaków. Lubiłem chodzić nad Araukę, ale nie zapuszczałem się daleko w obawie przed jadowitymi wężami. Sceneria była nieprawdopodobna. Od zapadnięcia zmroku przez całą noc rozbrzmiewał wspaniały głośny koncert niezliczonej ilości insektów. Stanowił doskonałą chóralną kołysankę. Niebo usiane było zawsze mrowiem mocno i jakoś bardzo nisko świecących gwiazd. A jeszcze opowieści Gamarry o tym, jak upolował kapibarę w starorzeczu Arauki. Jej mięso uchodzi za wielki przysmak na Równinach. Przyznam, że nie wprawiło mnie w zachwyt.

Mijały godziny i całe dnie, a obiecana podróż łodzią w górę rzeki do miasteczka Elorza nie dochodziła do skutku. Już byłem

zniecierpliwiony bezczynnością. Nikt nie wiedział, o co mi chodzi, bo miałem przecież gdzie spać i co jeść i zupełnie nie wiedzieć czemu spieszyłem się do Caracas. „Po co do Caracas? Czy tu panu źle? Tu jest prawdziwe, wspaniałe życie!” Mimo tych zapewnień, posuwając się niemal do granicy niegrzeczności wymogłem na panu José Natalio, że nazajutrz pojadę konno wraz z kowbojami aż do odległego o 15 km folwarku Agua Verde (Zielona Woda), by po drodze przyjrzeć się, jak wygląda chwytanie dzikiego bydła na lasso, pędzenie świeżo schwytanych byków i krów wewnątrz stada oswojonych i wreszcie ujarzmianie tych dzikich poprzez ujeżdżanie i powalanie przez młodziutkich chłopców odpowiednim chwytem za ogon, a potem pieczętowanie tak poskromionego bydła rozpalonym żelazem z inicjałami właściciela. Ostatnie stadium, ujeżdżanie i pieczętowanie odbywało się już w zagrodzie, w samym folwarku. Zwłaszcza ujeżdżanie było ogromnie trudne. Narowiste zwierzę zrzucało wielokrotnie jeźdźca na ziemię zanim się poddało i pozwoliło powalić. Chłopcy – jeźdźcy mieli pod koniec tej zawziętej walki ubranie całe w strzępach. Mimo pozornego poskromienia, jedna z krów tak mocno uderzała głową o drągi ogrodzenia aż popełniła samobójstwo.

Podczas całej operacji kowboje mieli na mnie baczenie, ale parę razy znalazłem się w samym środku akcji chwytania na lasso rozjuszonego i wściekle szarpiącego się byka. Poza tym straszyli, gdy przedzieraliśmy się przez rozlewiska: „Proszę uważać! Pod

wodą mogą być kajmany!”. Nie miałem podstaw, by im nie wierzyć, bo po drodze widzieliśmy *babos* (*Caiman sclerops*), nieco mniejszych i mniej agresywnych kuzynów kajmanów, które też mają zęby nie od parady. Podnosiłem więc wysoko stopy na wypadek, gdyby jakiś kajman chciał mi je napocząć i czułem się pewniej dopiero gdy wynurzyłem się wraz z koniem ponad powierzchnię wody. Sama jazda konna przez soczystą, intensywnie zieloną sawannę była czymś niezapomnianym. Co jakiś czas mijaliśmy siedzące na drzewach i brodzące w rozlewiskach stada białych czapli i szkarłatnych ibisów, które podrywały się do lotu. Przysięgam, że rzadko widywałem coś równie pięknego, chyba nigdy! Młode ibisy są jeszcze różowe, ale dorosłe mają pióra tak intensywnie szkarłatne, że na tle ciemnozielonego dywanu sawanny takie przelatujące stado wygląda nieziemsko pięknie. Dla Europejczyka taki obraz jest ucieleśnieniem absolutnie cudownym jakiejś baśniowej sceny, którą widział w dzieciństwie na ilustracji lub w kinie na przepięknym radzieckim filmie rysunkowym. Tak, bo te radzieckie filmy rysunkowe dla dzieci były przepiękne.

Na kolację było, oczywiście, świeżo upieczone mięso wołowe z owej krowy, która sama się zabiła. W momencie, gdy kowboje układali się w hamakach do snu, przyszło mi do głowy, by dyskretnie zapytać jednego z nich, gdzie jest toaleta. „Toaleta? – odparł lekko zdziwiony. A tu wszędzie dookoła, gdzie tylko pan sobie życzy!”, przy czym wykonał ręką odpowiedni szeroki gest.

Nagle uświadomiłem sobie, jak dalece śmieszne, by nie powiedzieć idiotyczne było moje pytanie. Na drugi dzień był już tylko powrót konno do hacjendy Trinidad de Arauca. Nabrałem takiej pewności siebie, że jechałem już całkiem szybkim truchtem. Wyprzedzał mnie Juan Ramón i śpiewał pięknie improwizując. Ten jego improwizowany śpiew przy zachodzącym słońcu, pośrodku cudownej, zielonej, bezkresnej wenezuelskiej Równiny, był godnym końcowym akcentem mego pierwszego pobytu na Wielkich Równinach.

Wielkie Równiny

Cała ta wyprawa należy do najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Ileż w niej magii, tajemniczości, a przy tym sam się przekonałem, że Rómulo Gallegos miał po stokroć rację: to nie fantazja, to rzeczywistość, tyle, że magiczna. Ogrom Równiny Wenezueli, tak jak argentyńska pampa, wyzwalają w ich mieszkańcach skazanych na samotność konieczność rozmowy z samym sobą, gdy obok nie ma kompanów. Stąd ta wspaniała improwizacja prawie zawsze w tonie pozytywnym, wyrażająca zachwyt dla całej krainy, konia, pracy na sawannie, tęsknotę za nieobecną tu dziewczyną. Może nieco idealizuję teraz to wszystko, ale wyprawa była naprawdę fascynująca, niezapomniana. Dzięki, dzięki wielkie, panie José Natalio

Estrada, dzięki, wspaniali jeźdźcy!

Już chyba w czerwcu 1972 roku nawiązałem kontakt z Wyższym Instytutem Pedagogicznym w Caracas, gdzie od października miałem rozpocząć pracę. Spotkałem tam moje dwie znajome z kursu w Maladze w 1967 roku, Josefinę Falcón de Ovalles i Ernestinę Salcedo. Obie wykładały na tej uczelni i dzięki nim poznałem osobę, z którą do końca pobytu w Wenezueli utrzymywałem najżywsze kontakty. Była to nauczycielka języka hiszpańskiego w znanym karakaskim liceum, Olivia Carmona. Jak większość intelektualistów wenezuelskich Olivia miała poglądy mocno lewicowe, by nie powiedzieć komunizujące. Z pewnością wiedziała, w jaki sposób trafiłem do Wenezueli, a mimo to właśnie z jej strony spotkało mnie najwięcej życzliwości. Bezpośrednim powodem jej poznania był fakt, że jej ojciec pochodził właśnie z Równin, z miasteczka Elorza nad rzeką Arauką. Nagrałem z nim bardzo długą rozmowę, podczas której czytał mi wiersze ludowych twórców z Równin. Było to na krótko przed jego śmiercią i Olivia prosiła mnie potem o to nagranie, by zachować na pamiątkę jego głos. Kolejnym mężem Olivii został wówczas Artajerjes Muñoz, bardzo młodo prezentujący się u jej boku wiotki efeb. Oboje towarzyszyli mi w kilku wypadach poza Caracas.

Najciekawszym był kolejny wyjazd na Równiny w Stanie Apure. Było to chyba gdzieś w okolicy San Juan de Payara, na południe

od San Fernando. Trwała pora deszczowa i przecinaliśmy ogromne rozlewiska (*esteros*) łodzią motorową sterowaną po mistrzowsku przez niezwykle sympatycznego, cały czas promiennie uśmiechniętego tubylca o ogorzałej od słońca twarzy. Dotarliśmy do jakiejś hacjendy stanowiącej małą zadrzewioną wysepkę w bezmiarze wód. Właściciel o wyglądzie patriarchy dał się namówić na wywiad ze mną. Niestety, nie zaopatrzyłem się wówczas w magnetofon, a notatki w zeszycie to jednak zdecydowanie nie to samo. W drodze powrotnej do Caracas, po przekroczeniu mostu na Apure za San Fernando skręciliśmy w prawo w kierunku miasteczka Guayabal, by zabrać stamtąd matkę Olivii. Gdy już wyjeżdżaliśmy na główną drogę do Caracas, ujrzeliśmy Metyskę niosącą na głowie wielki stos dużych, cienkich, okrągłych placków z maniokowej mąki, zwanych *casabe*. To indiański chleb w całym Basenie Morza Karaibskiego. Jak bardzo uwielbiają go nadal Wenezuelczycy miałem okazję się przekonać, gdy Olivia natychmiast zatrzymała samochód, kupiła kilka placków od owej kobiety i cała trójka jęła pałaszować je z wielkim apetytem. Mnie wydały się nieco suche i lekko wiórowate.

Na św. Jana pojechaliśmy razem do murzyńskiego miasteczka Curiepe, w regionie Barlovento (stan Miranda). Odbywa się tam wówczas wielki ludowy festyn i nocą mieszkańcy grają na długich drewnianych bębnach *mina* i krótszych *curbata* oraz innych instrumentach perkusyjnych, na przykład *quitiplás*, czyli bambusowych rurkach, którymi wybija się rytm uderzając o ziemię. Zabawa zakrapiana jest obficie gorzałką z trzciny cukrowej i rumem. Olivia, chcąc zachęcić pewną czarną *doñitę* (miłą panią), jak ją nazywała w rozmowie, do interesujących wynurzeń natury folklorystycznej, wręczyła jej butelkę rumu.

Aliści *doñita* okazała się na tyle niewdzięczna, że zawładnąwszy bezcennym łupem miast snuć ciekawe opowieści obdarzyła biedną Olivię wiązanką soczystych inwektyw. Jeszcze raz potwierdziło się, że odpust czy to w Łowiczu czy w Curiepe to nie najlepsza okazja do zasięgania rzeczowych informacji.

W lipcu 1972 roku odwiedziłem dwukrotnie wenezuelską Gujanę, czyli wschodnią część stanu Bolivar, gdzie rozgrywa się akcja powieści *Canaima* Gallegosa. Obszar to zupełnie inny, niż Wielkie Równiny. Północną jego granicę wytycza środkowy i dolny bieg Orinoko, „Ojca" wenezuelskich rzek. Ogromną atrakcją turystyczną jest leżący stosunkowo blisko granicy z Brazylią płaskowyż zwany *Gran Sabana* (Wielka Sawanna), z którego wyrastają gigantyczne „stoły" skalne, zwane *tepuyami*, porośnięte tropikalną dżunglą. Ze szczytu jednego z nich, *Auyantepuy*, spada najwyższy na świecie Wodospad Angela, odkryty w 1935 roku przez amerykańskiego pilota o tym nazwisku. Ma ponad tysiąc metrów wysokości. Jego indiańska nazwa brzmi: *Churún Merú*.

W biurze podróży w Caracas, gdy czekaliśmy na autokar, który miał nas zawieźć na lotnisko, pojawiła się pani o europejskim wyglądzie w towarzystwie młodej osóbki i spytała po hiszpańsku, czy ktoś z uczestników wyprawy mówi po niemiecku. Zgłosiłem się i zostałem opiekunem Helgi Geuer z Akwizgranu, młodej nauczycielki w szkole dla dzieci upośledzonych umysłowo

(*imbizile Kindern*). Helga co roku zwiedzała atrakcyjne zakątki świata, filmując je i robiąc przeźrocza. Po powrocie do Akwizgranu prezentowała te materiały swoim uczniom. Tym razem odwiedziła zamieszkałą w Caracas ciotkę (tę właśnie panią, z którą weszła do biura) i wybierała się tak jak ja do Canaimy w sercu wenezuelskiej Gujany. Polecieliśmy najpierw do Ciudad Bolivar, stolicy stanu. Nie zapomnę widoku szerokiej wstęgi Orinoko w dole. Potem kontynuowaliśmy podróż mniejszym samolotem, który poszybował daleko na południe mijając Canaimę, specjalnie po to, by zatoczyć koło w przepastnym skalnym kanionie słynnego Wodospadu Angela. Wszyscy przykleiliśmy twarze do okienek i z emocją przyglądaliśmy się tym spadającym z ogromnej wysokości masom wody i potężnym, pionowym ścianom skalnym. Choć samolocik zatoczył aż dwa koła, trwało to zbyt krótko, by nasycić wzrok tym cudownym widokiem.

Zaraz potem zawróciliśmy na północ i za parę minut lądowaliśmy w Canaimie. I znów baśniowa sceneria: rzeka Carrao (dopływ olbrzymiej Caroní, która wpada do Orinoko) tworzy tu rząd potężnych, rozdzielonych pasmami bujnej roślinności wodospadów zwanych *Salto Hacha* (Wodospad Siekiera), a te z kolei – spore jezioro o nazwie *Laguna de Canaima*. Prąd jest tak silny, że woda w jeziorze ciągle wiruje, aż wreszcie wypływa z niego jako szeroka, rwąca rzeka, zmierzając ku pobliskiej, jeszcze większej Caroní. Woda, na skutek naturalnych

barwników mineralnych i roślinnych, ma niesamowity zupełnie kolor coca-coli lub jeśli ktoś woli, przejrzystego wiśniowego soku. W niej, dość daleko od brzegu jeziora, rosną trzy piękne palmy. W tle ogromne stoły skalne. Sawanna przeplata się z dżunglą. Na brzegu jeziora zbudowano małą, śliczną wioskę dla turystów. Domki w stylu indiańskich chat, kryte strzechą. Obok wysoko położonej restauracji, z której roztacza się wspaniały widok na jezioro i wodospady, na drzewie, wielkie kolorowe ary (*guacamayos*). Ich opiekun czule rozmawia z nimi po węgiersku.

Już na miejscu poznaliśmy sympatyczną Mulatkę z holenderskiej wyspy Curaçao. Miała na imię Margarita i zupełnie nieźle mówiła po hiszpańsku. Nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z Helgą: holenderski jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a poza tym, zdaje się, obie znały trochę angielski. Byliśmy najmłodszymi uczestnikami tej wycieczki i trzymaliśmy się razem. We trójkę wybraliśmy się w dół rzeki Carrao dochodząc do dużej, okrągłej opuszczonej wówczas indiańskiej chaty. Takie pojedyncze chaty zwane *churuatas* mieszczą całą wioskę i są typowe dla Indian wenezuelskich. Na obszarze Stanu Bolivar mieszkają *Maquiritare, Panare, Piaroa, Shiriana*, a konkretnie tu, na Wielkiej Sawannie, *Pemonowie*, zwani także *Taurepanami*. Owa *churuata* należała więc z pewnością do tych ostatnich. W pobliżu spotkaliśmy indiańską rodzinę. On tulił w ramionach niemowlę, a ona właśnie piekła *casabe*, opisane wcześniej maniokowe placki. Obok, na poprzecznym drągu, wisiał *sebucán*,

długa rura pleciona z liści palmowych, do której przez jej górny otwór wsypuje się i ubija utarty gorzki maniok. Elastyczna konsystencja tego urządzenia powoduje, że pod wpływem ciężaru jego ścianki wyciskają z manioku trujący płyn, który zbiera się do stojącego pod *sebukanem* naczynia. Po zagotowaniu służy jako zupa oraz do przygotowania octu i miodu. Substancje trujące ulatniają się podczas gotowania.

Innym razem nasz „tercet egzotyczny” powędrował w górę Carrao, ścieżką przez dżunglę, w której, o dziwo, panowała zupełna cisza: nie słychać było śpiewu ptaków, nie płoszyliśmy żadnych zwierząt. Doszliśmy do wielkiego leśnego muzeum „Rudy Jungle” (Dżungla Rudolfa). Przyjęli nas właściciele: ów Rudy i jego żona, oboje Holendrzy. Na ścianach wisiały wspaniałe trofea myśliwskie: skóry jaguara, kajmana, wielkiego mrówkojada, boa, anakondy, rogi tutejszych jeleni, spreparowane głowy tapirów, mnóstwo żywych i wypchanych kolorowych ptaków. Wróciliśmy do naszej wioski na przełaj przez sawannę. Na poszukiwanie diamentów pojechałem bez moich przyjaciółek: Helga była tak spieczona i obolała, że Margarita postanowiła zostać z nią w wiosce, by ją kurować. Najciekawsza była podróż łodzią wiosłową w tunelu utworzonym nad rzeczką przez gęste gałęzie drzew. Z ich konarów zwisały długie, brodate epifity, a wśród nich co jakiś czas wabiły wzrok prawdziwe klejnoty: piękne, liliowe orchidee. Potem było nudne grzebanie w piasku na dnie małego strumyka, przesiewanie tego piasku przez

duże, płaskie sita. W efekcie ktoś znalazł dwa malutkie diamenty, a reszta śmiertelnie się wynudziła…

Przez jakiś czas trwała korespondencja między Helgą a mną. Przysłała ładne zdjęcie, które zrobiła mi na częściowo zatopionej indiańskiej łodzi nad rzeką Carrao. Napisała też Margarita. Okazało się, że odwiedziła Helgę w Akwizgranie…

ciąg dalszy nastąpi

Quinta Anauco, Caracas

Zygmunt Wojski, ur. w 1941 r., absolwent filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba), ukończył wyższy kurs filologii hiszpańskiej w Maladze i kurs szkoły badań lingwistycznych w Madrycie. Odbył studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1984 r.

obronił pracę doktorską “Particularidades léxicas del español hablado en los Llanos de Venezuela” i uzyskał tytułu doktora nauk humanistycznych. Studia podyplomowe odbył w Institut d’Etudes Hispaniques na Sorbonie, pod kierunkiem prof. Bernarda Pottiera.

W latach 1972-1973 przeprowadzał badania nad hiszpańszczyzną mówioną w Wenezueli i prowadził seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Instituto Pedagógico Nacional w Caracas. Był też wykładowcą metodyki nauczania języka hiszpańskiego dla cudzoziemców w Instituto de Cultura Hispánica w Madrycie (1973-76). W latach 1976-2007 wykładał język i kulturę portugalską, gramatykę francuską i hiszpańską, historię i kulturę Ameryki Łacińskiej oraz historię języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie także prowadził proseminaria poświęcone hiszpańszczyźnie amerykańskiej.

W latach 1976-2006 prowadził badania lingwistyczne i wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali, w Urugwaju, w Panamie. W tym samym okresie przygotował serię sesji naukowych poświęconych kulturze i cywilizacji portugalskiej (poezja Camõesa i Pessoa, Lizbona, Madera, Azory, twórczość José Saramago, Amália Rodrigues).

W 1985 r. po raz pierwszy w historii Uniwersytetu Wrocławskiego wprowadził lektorat języka portugalskiego. W latach 1998-1999 był kierownikiem Zakładu Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Mimo, że w 2006 roku przeszedł na emeryturę, w latach 2007-2010 był starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, a w latach 2011-2012 – starszym wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.

Dziennikarz z Wysp Karaibskich

Paulina Potocka

Thomas Tomczyk

Thomas Tomczyk w Kenii

Świat stoi otworem – trzeba tylko sięgnąć po marzenia. Tomasz Tomczyk, jako dziecko, roznosił gazety w Toronto,potem stał się właścicielem własnego, dobrze prosperującego pisma na wyspach Roatan, Utila i Guanaja.

O małym Tomku w domu Wańkowicza napisała Zofia Kucówna w pięknej książce „Zatrzymać czas", że kiedy odwiedziła pisarza „po pokojach biegało małe dziecko, chłopczyk… i dzięki niemu ten dom nie był smutny". Był rok 1973 – rok później 82-letni autor „Monte Cassino" zmarł.

Jako czteroletni chłopiec przeniósł się z Łodzi do Warszawy z mamą, która po ukończeniu studiów zaczęła pracę u wielkiego pisarza Melchiora Wańkowicza, z którego najpierw pisała magisterium, a później doktoryzowała się. Po śmierci pisarza w

książce „Blisko Wańkowicza” Aleksandra Ziółkowska napisała osobny rozdział zatytułowany „Król Herod to był mądry król…” cytując wielkiego reportera, który starszy i schorowany, nie miał cierpliwości do przeszkadzających mu dzieci. Ziółkowska pokazuje także, jak Wańkowicz straszył jej małego wtedy synka policjantem, kiedy ten w ogrodzie obłupał korę z drzewa, jak dawał mu order czarnego ciastka za dobre zachowanie, układał wierszyki na urodziny malca i jak czytał mu Koziołka Matołka naśladując „jak wyją wilki”. Oto wiersz Wańkowicza (cytat z „Blisko Wańkowicza”):

Thomas Tomczyk, Kenia.

Dobra nasza, dobra nasza!…

Dziś urodziny Tomasza.

Frajda taka, frajda taka,

Że możem uczcić dzieciaka.

Dostanie tort i skakankę

I składankę budowlankę

A jak Ania będzie chora

Może bawić się w doktora.

Pamiętaj: kto ma pięć lat

To jest straszak, no i chwat

Nie jest zbyt gorąca zupka

Nie ciągnie za ogon Dupka

Bo kto dybie ciągle na psa

Ten dostaje za to klapsa.

Nie ciągnie go też za ucho

No i starszych zawsze słucha.

Wynosząc Cię pod niebiosy

Życzymy byś miał dwa nosy

Rączkę, nóżkę zapasową

I jeszcze i to, i owo.

Abyś był chłopaczek żywy

Ale grzeczny, nie wrzaskliwy

I w sędziwych pięciu latach

Nigdy nie deptał po kwiatach.

I jeśli jesteś coś warty

Zawsze słuchaj pani Marty.

I jak przetrwasz tak rok cały

Będziesz szkolniak doskonały

Wszyscy będą lubić Ciebie

I będziesz się czuł jak w niebie.

Thomas Tomczyk, Kenia

Tomek jest także bohaterem późniejszej książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm „Ulica Żółwiego Strumienia”, po lekturze której Szymon Kobyliński (który znał Tomka od dziecka, oceniał jego rysunki namawiając do własnego spojrzenia) napisał:

„-Tomek jawi się przede wszystkim jako dobry, a to komplement najszczytowszy z możliwych, zwłaszcza dziś, a ponadto od małego mądry życiowo i sercowo… Jego losy, rozpostarte po mnóstwie krain i szkół, jednak zaliczanych „w cuglach”, są świetnym leitomotivem całej narracji. Coś rośnie i dojrzewa z tym chłopakiem, coś się spełnia i czyni coraz bogatszym duchowo” (cytat z książki „Nie minęło nic, prócz lat”).

Na coroczne wakacje zimą i latem jeździł z mamą do Halamy w Zakopanem i do Nieborowa. Pani Aleksandra wciąż dbała o jego nowe wrażenia i przeżycia. Poleciała z nim samolotem do Krakowa, „aby chłopiec zaznał lotu samolotem”. Po latach jego babka będzie mówić – *„mój wnuk więcej jeździ samolotami niż ja autobusami*..”.

Pierwszą daleką podróż pani Aleksandra wymyśliła przed rozpoczęciem szkoły. Na „zakończenie dzieciństwa” wybrali się w podróż morską statkiem handlowym do Włoch i do Maroka.

Po skończeniu piątej klasy szkoły podstawowej towarzyszył jej na stypendium do Kanady, gdzie chodził do katolickiej szkoły (Ziółkowska opisała ten okres w rozdziale „Szkoła w Kanadzie” w książce „Nie tylko Ameryka”). W Toronto zastał ich stan wojny i pozostali ponad dwa lata. Tomek nauczył się języka angielskiego, zaczął naukę francuskiego, którą potem kontynuował w Instytucie Francuskim w Warszawie. Nauczył się także dobrze

hiszpańskiego. Pani Aleksandra pisze, że nauka języków jest niewątpliwie pozytywnym rezultatem ich częstego przemieszczania się.

W Toronto roznosił gazety, należał do harcerstwa, wyjeżdżał z mamą na Florydę i do Nowego Jorku. W Kanadzie, jak pisze pani Aleksandra, „usposobienie zmieniło mu się na pozytywniejsze", ale Tomek tęsknił do rodziny, do zostawionego z dziadkami jamnika i bardzo chciał wracać. Wrócili do Warszawy w grudniu 1983 roku mając wcześniej przyznany stały pobyt w Kanadzie. Śmieszne perypetie ze zdobyciem podręczników, z wywiadówką w polskiej szkole opisane są także w przywoływanej książce „Ulicy Żółwiego Strumienia". Starannie przygotował się do egzaminów wstępnych, które zdał i dostał się do dobrej szkoły Reytana w Warszawie. Miał czas szczelnie wypełniony – uczył się gry na flecie, chodził na naukę języków.

Thomas Tomczyk, Kenia

Z chłopcem rozmiłowanym w grze w szachy nie chciała grać mama (bo ponoć nie umie), ale grywał on z przywiezionym z Kanady komputerem, a także z odwiedzającym przyjacielem domu Michałem Radgowskim. Szachami i fotografią zainteresował chłopca młodszy brat mamy, Krzysztof.

W pokoju Tomka na ścianie wisiała duża mapa świata. Ulubioną zabawą z mamą było, by poszukała na mapie jakiekolwiek miejsce: miasto czy region w świecie i spytała o nie Tomka, który miał wyznaczony krótki czas na odszukanie. Znał bowiem mapę świata na pamięć. Częstym gościem pani Aleksandry w mieszkaniu na Mokotowie bywał Ryszard Kapuściński, który zachodził do pokoju chłopca, mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki także. Jak się tylko bardzo chce. Kapuściński swoją serdecznością i delikatnością ujmował i Tomek z czasem stał się zapalonym czytelnikiem jego książek.

Będąc uczniem szkoły Reytana przerwał naukę i towarzyszył matce w jej kolejnym amerykańskim tym razem stypendium, cały semestr uczęszczając do szkoły na Florydzie. Do Stanów jeździł jeszcze dwukrotnie z mamą na jej stypendia (zawsze amerykańskie, nie polskie). Jak mówi pani Aleksandra, jakimś cudem nigdy nie powtarzał roku i zawsze uzupełnił materiał. Po maturze jako kierunek studiów wybrał architekturę ucząc się wcześniej dwa lata rysunku. Zdał dobrze egzaminy wstępne i stał

się studentem wydziału architektury Politechniki Warszawskiej. Jako student miał praktyki w Sandomierzu, także Czechosłowacji, ale jak wielu młodych ludzi jeździł po całej Europie, między innymi zbierał winogrona we Francji. Pani Aleksandra opisuje wzruszającą historię, gdy ukradziono mu plecak w Lizbonie, znalazł schronienie u ojców Palotynów i po tygodniu sam odnalazł złodzieja. Ten sam fakt opisał później ksiądz Andrzej Gładysz w „Naszej Rodzinie" (przedrukowanym w „Nowym Dzienniku" 25-25 lipca 1992) w artykule „Polacy w Portugalii". Cytuję:

„Jako ostatniego, wspomnę pewnego studenta architektury, bardzo miłego i kulturalnego, który poprzedniego lata, podróżując jako turysta, został w Lizbonie doszczętnie okradziony (przypadek wcale nierzadki). Zamieszkał u nas na kilka dni do czasu, aż Konsulat wyrobi mu powrotne dokumenty. W ciągu kilku dni chłopak wytropił złodzieja, odzyskał większość swych rzeczy, a winowajcę oddał w ręce policji. Ostatni akt tego dramatu rozegrał się w mojej obecności w komisariacie policji: Tomek wraz ze złodziejem, już w kajdanach, padli sobie w objęcia za pożegnanie i ściskali się ze łzami w oczach".

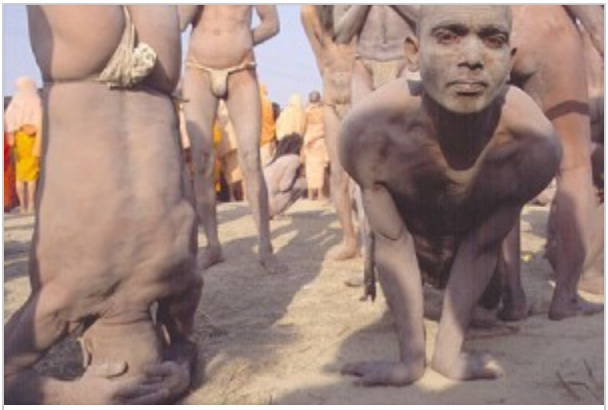

Afryka w obiektywie
Thomasa Tomczyka

Według książki „Ulica Żółwiego Strumienia” (str. 445) ta historia od strony Tomka wyglądała tak:

„Patrzyłem na niego i zrobiło mi się go żal. Podszedłem, podałem dłoń – Con Dio (zostań z Bogiem), powiedziałem… Portugalczyk popatrzył na mnie, oczy mu się zaszkliły, chwycił mnie wpół i schylił głowę. Trwaliśmy tak chwilę”.

Był na drugim roku architektury, gdy mama wyszła za mąż za Amerykanina i przeniosła się do Stanów. Tomek doleciał do nich i kontynuował studia architektury na uniwersytecie w Fayetteville w stanie Arkansas, gdzie wykładał słynny amerykański architekt Fay Jones. W czasie wakacji jeden miesiąc pracował, resztę podróżował. Był na przykład w Puerto Rico,

objechał autobusem cały Meksyk aż do Jukatanu, mając wciąż polski paszport pojechał na Kubę. Wiele fotografował i fotografia stała się jego dużą pasją. Na czwartym roku studiów, zgodnie w programem, cała grupa studentów architektury uniwersytetu w Fayetteville przeniosła się na studia do Rzymu. Tomek dorabiał jako tłumacz w TV, wykonywał rysunki-portrety i jeździł – i po Włoszech i po innych krajach. Bywał także w Warszawie. W „Twoim Stylu" (listopad 1992) przeprowadzono z nim wywiad z cyklu "Rodzinne wartości", powiedział w nim, że chociaż studiuje architekturę, ale ciągnie go do reportażu. Powiedział także:

„Mama miała i ma przyjaciół z kręgu literackiego. Tematy, o których się u nas rozmawia, były mi znacznie bliższe, niż te poruszane z rówieśnikami. Czasami czułem się niezręcznie, gdy stwierdzałem, że nudzę się z kolegami. Nie było to żadne wywyższanie się. (…) Podziwiam moją mamę za to, że przez tyle lat udało jej się pozostać samodzielnym i niezależnym człowiekiem. I że mnie tak wychowała. Nigdy nie patrzę w przeszłość, myśląc, że chciałbym coś w niej zmienić, odwrócić. Czasami było ciężko. Zmiana kraju, kontynentu, oderwanie się od czegoś, co się znało, nowe środowisko, inne problemy… Polska, Kanada, znów Polska, potem Stany, Polska i znowu Stany… Myślę, że jednak udało mi się odnaleźć siebie w takim rytmie życia, wyciągnąć z niego korzyść. Jestem przygotowany na to, że w każdej chwili mogę zmienić miejsce zamieszkania, studiów" (…).

Jak pisze pani Aleksandra, Tomek ma swoje nieduże pokoje z książkami i w warszawskim mieszkaniu i w domu w Wilmington w stanie Delaware.

O swoim podróżowaniu do Jugosławii mówił w radiu WAWA. W „Polityce”(19 marca 1994) ukazał się jego tekst „Jak studiować w Ameryce”, przedrukowany potem w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, zaczynający się od słów:

”Przeżyłem głęboką konsternację, gdy podczas jednego z pierwszych wykładów kolega poklepał po plecach 60-letniego profesora i spytał: ”Jak ci leci, Earl?”. Starszy pan odpowiedział: ”W porządku. Czy miałeś okazję popracować nad zadaniem, Ken?” Przez następne dwa miesiące stopniowo zmieniałem własne wyobrażenia o stosunkach między studentami a ciałem pedagogicznym”.

Afryka w obiektywie
Thomasa Tomczyka

W „Rzeczypospolitej” drukuje duży reportaż z fotografiami z Gruzji zatytułowany ”W krainie anarchii” *(„W Gruzji nie istnieje armia z prawdziwego zdarzenia – w Tbilisi i większych miastach widać czasem patrole armii rządowej, natomiast wieś i rejony przygraniczne zostały pozostawione samym sobie”…).*

Fotografie Tomka drukuje „Gazeta Wyborcza”. W „Twoim Stylu” (Nr 11,1992) ukazuje się jego obszerny reportaż z fotografiami z Albanii: „Albania, czyli przebudzenie”. Cytat:

„Wydaje się, jakby trzy czwarte miasta wzięło jednocześnie urlop, ale nikt nie miał pieniędzy, by gdziekolwiek wyjechać”.(…)

Teraz Albania stała się miejscem swoistego polowania na dusze. Do Tirany przylecieli bogaci muzułmanie z Jordanu i Arabii Saudyjskiej. Nie skąpią oni pieniędzy na odbudowę meczetów i na uczenie młodzieży i dorosłych jak powinien modlić się pobożny muzułmanin. Otwiera się także na nowo świątynie, których fasady i wnętrza zostały kiedyś przebudowane, aby zatrzeć ich religijny charakter i przystosować do nowej funkcji. (…) Przyjechać do Albanii teraz, to dla jednych o kilka lat za późno. Dla innych o wiele lat za wcześnie”.

Także w „Twoim Stylu” (Nr 6, 1993) ukazał się reportaż Tomasza Tomczyka z Kuby: „Plaże pod specjalnym nadzorem”. Cytat:

„Niewątpliwym sukcesem nowego systemu jest zlikwidowanie uprzedzeń rasowych. Ten najbardziej zhispanizowany, kiedyś najbardziej konserwatywny skrawek Ameryki Łacińskiej, stał się przykładem tolerancji. (…) Jeśli widać na wyspie dyskryminację, to jest ona skierowana przeciw… samym Kubańczykom. Kubańczyk nie ma prawa wejść do hotelu, do restauracji czy sklepu, a nawet na niektóre plaże, o ile nie znajduje się w towarzystwie obcokrajowców" (…)

„Maria mówi, że ma szczęście. Poznałem ją w drodze z Hawany do Bahia Honda. Zatrzymała nasz samochód. Maria jechała na kilka dni do swojej rodziny na wsi. Przywoziła stamtąd żywność, tak trudno osiągalną w stolicy" (…).

W amerykańskim piśmie „Northwest Arkansas Time" (October – November 1992) jako Thomas Tomczyk drukuje cykl reportaży z Albanii: „A little slice of Albanian history", „Poor country rich in culture, hospitality", „Albania: Forty-eight years of Isolation".

Na studiach obok architektury jako przedmiot dodatkowy wybrał dziennikarstwo, otrzymał prestiżową nagrodę przyznawaną przez Fulbright College Awards – „The Larry Obsitnik Award in Photojournalism". Po otrzymaniu dyplomu architekta pracuje w Dallas w dużej firmie architektonicznej, kupił stare Porsche. W rok później sprzedał samochód i wyjechał w podróż, o której mówił matce od dawna, podróż dookoła świata. Marzył o niej

jako chłopiec słuchający opowieści Kapuścińskiego. Był blisko rok w Turcji, Egipcie (gdzie nawiązał kontakt z pismem i drukował w „Cairo Today”), Iranie, Afganistanie, Pakistanie, Nepalu, Tybecie, objeżdża Indie (kupiwszy motocykl w New Delhi i po trzech miesiącach sprzedając go w tym samym miejscu), Sri Lance, Chinach, Japonii…

Pani Aleksandra zapytana o odwiedzone przez syna miejsca, nie umie wymienić wszystkich krajów, pamięta tylko, że co tydzień telefonował, i pamięta, jak nie spała nocami, gdy tydzień mijał, a telefon nie dzwonił.

Tybet w obiektywie
Thomasa Tomczyka

Z Alaski pojechał do San Francisco, miasto zrobiło na nim urzekające wrażenie i postanowił w nim zamieszkać. Wynajął mieszkanie na słynnej Lombard Street, pieszo chodząc do pracy do dużej firmy architektonicznej. Ma motocykl, zawsze uprawia

sport – jeszcze w Polsce judo, w Stanach szermierkę, polo i boks. W San Francisco zrobił licencję z *paragliding*. I znowu obmyśla wyjazd. Tym razem jedzie do Afryki, między innymi do Kenii, Etiopii, Sudanu i Somalii. W „Polityce” (11 września 1999) w cyklu „Na własne oczy” ukazuje się jego poruszający reportaż zatytułowany „Sudańska fabryka głodu” ze wstrząsającymi zdjęciami. Reportaż zaczyna tak:

„Wokół snują się nagie postacie o patyczkowych kończynach i olbrzymich głowach. Obcy czuje się tu nieswojo. Jest jak na innej planecie, otoczony przez mieszkańców o twarzach mędrców i zanikłym ciele.

Najsłabsze dzieci leżą w cieniu drzew nie mając sił, by odgonić z twarzy muchy. Trzylatki nie potrafią jeszcze chodzić. Dzieci wyglądające na cztery lata, mają siedem. W centrach terapeutycznych południowego Sudanu tygodniami balansują na granicy życia i śmierci. Wolontariusze organizacji „Lekarze bez granic” przyjmują je tu, gdy ich waga spada poniżej 60 procent normalnej. Nagość jest wszędzie wszechobecna”. (…)

Niebawem potem wspominani w reportażu „Lekarze bez granic” otrzymali pokojową nagrodę Nobla.

W nowojorskim „Nowym Dzienniku” Tomasz Tomczyk wydrukował reportaż z Egiptu, Somalii i Sudanu: „Z dala od

piramid”, i „W Somalilandzie już nie strzelają”, „Siedem plag Sudanu”.

Tomek postanawia zrobić magisterium właśnie z dziennikarstwa. Wybrał najstarszy amerykański wydział dziennikarstwa na uniwersytecie w Columbii w Missouri. Sam znajduje wcześniej pracę jako *„assistant professorship”* – prowadzi zajęcia na wydziale architektury i jednocześnie studiuje na wydziale dziennikarstwa (co zwolniło go z ogromnych opłat za studia magisterskie). Otrzymuje dodatkowe stypendium na uniwersytecie, jak i z Miami The American Institute of Polish Culture i z nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej.

Jest czynny i bardzo zajęty. Drukuje swoje *cartoons* w prasie (zawsze powołuje się na wpływ politycznych rysunków Szymona Kobylińskiego). Te rysunki z komentarzami także politycznymi drukowane w prasie amerykańskiej są dużym Tomka osiągnięciem.

Drukuje dalej reportaże, duże echa wywołał jego reportaż „Step by Step” w „Columbia Missourian”. W czasie studiów – jak większość studentów dziennikarstwa – dużo jeździ. Jedzie ponownie do Indii. W nowojorskim miesięczniku „Lapis” drukuje *„cover story”*- reportaż z fotografiami na temat święta „Maha Kumbha Mela”, jego fotografie ukazują się w „Missouri Life”, z Sudanu w „World and I”, „Global Journalist”.

W uniwersyteckim miasteczku Columbia organizuje wystawę fotograficzną „Stacje Krzyżowe”. Powiedział, że inspirację do tego tematu uzyskał w Sudanie, kiedy patrzył na ludzkie nieszczęścia. Wystawa wzbudziła poruszenie w kościele, ksiądz Edwin Cole mówi, że fotografie młodego fotoreportera ożywiły parafię.

Praktyki studenckie odbywa w wielkiej codziennej gazecie w Santiago de Chile, gdzie drukuje po hiszpańsku swoje teksty. Pracę magisterską pisze z Erytrei, gdzie spędza 3 miesiące zbierając materiał na temat odbudowywania kolei, w której biorą udział Włosi. Otrzymuje nagrodę jako finalista w „Photographer’s Forum Magazine” w Los Angeles. Po skończeniu magisterium pracuje jako architekt w Nowym Jorku, wyjeżdża do Nikaragui i Hondurasu.

Od marca 2003 roku jest na Karaibach – na wyspie Roatan otwiera własny dwutygodnik „Bay Islans Voice”. Jest w języku angielskim i ma kilka stron w języku hiszpańskim. Ukazało się ponad 20 numerów, obejmuje zasięgiem wyspy Roatan, Utila i Guanaja. Pismo ma wiele ogłoszeń, wspiera lokalny uniwersytet, sponsoruje uzdolnioną biegaczkę. Przeprowadza wywiady między innymi z „pierwszą damą Hondurasu”, z szefem policji, z gubernatorem wyspy. Tomek zatrudnia dwie osoby, poszukuje odpowiedzialnych ludzi znających nie tylko angielski, ale i hiszpański. Na ogłoszenie o pracę zgłosiło się 50 amerykańskich

młodych dziennikarzy. Od 2004 roku uruchamia kwartalnik „Echo”. Na stronie internetowej podkreśla, że urodził się w Łodzi (którą opuścił jako 4-letni chłopiec), że jest z Polski.

– Czy brakuje mu ojczyzny? – na te i inne pytania nie mam odpowiedzi. Może kiedyś, gdy będzie w Stanach, uda mi się z nim przeprowadzić wywiad?

W 1992 roku w „Twoim Stylu” w wywiadzie z Elżbietą Chęcińską powiedział:

„Gdzie jest mój dom rodzinny? Nie wiem. Najbardziej chyba cenię dom moich dziadków, który pachnie dzieciństwem. Dziadek zmarł, ale jest babcia, są wujkowie(…) Dużo podróżuję i wiem, że mama martwi się o mnie. Po powrocie opowiadam jej przeróżne, niesamowite historie, a ona aż wstrzymuje oddech. Zapewniam ją, że uważam na siebie, ale i tak się niepokoi”(…).

Thomas Tomczyk z mamą, Aleksandrą Ziółkowską-

Boehm

Porozmawiałam na jego temat z mamą, Aleksandrą Ziółkowską-Boehm. Mówi, że Tomek ma wielkie serce, że jest wrażliwy, pełen inicjatywy, wymagający dużo od siebie, i że ciężko pracuje. Podziwia jego niemałą wiedzę, jego oczytanie, znajomość języków, umiejętność zorganizowania się i dostosowania. Oczywiście, że jest dumna – jest jej jedynym ukochanym synem, którego sama wychowała. Mówi: *Gdy się rodzi dziecko, troska i zmartwienie już nas nie opuszcza. Tym bardziej, gdy jest wciąż w ruchu… Każdy jego kolejny wyjazd to mój wielki niepokój, czasami wręcz strach.* Ziółkowska uważa także, że płaci się dużą cenę za to podróżowanie i przemieszczanie. Tomek wciąż nie ułożył sobie życia, czego i jemu i sobie życzy. Są wciąż oddaleni. – *Może gdybym go nie wychowała w przekonaniu, że świat stoi otworem, że można sięgać po marzenia…*

Daje przykład swojego starszego brata Henryka, który w Polsce buduje dom z czterema osobnymi mieszkaniami, w których zamieszkają jego dwaj synowie. Będą pod jednym dachem. *Jest to inny model życia – jakże pełen komfortu psychicznego*, – mówi Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Skrócona wersja tego tekstu ukazała się w: WEEKEND, Nowy Dziennik, Nowy Jork, 21 lutego 2004.

Pełna wersja ukazała się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w marcu 2004 r.